OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 21 Czerwca 1865 roku.

Nr 25. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

FLORENTYNA NIGHTINGALE.

Wśród szczęku oręża i wycia dział, wśród rumowisk i rozoranéj ziemi, uwija się często bohater, nie głośny wprawdzie, owszem skromny: to doktór pułkowy lub siostra Miłosierdzia, prosto odziani, bez towarzyszy i blasku, ale są to ci, co opatrują chorych, goją rany, przenoszą do szpitali i ambulansów, wyrywają osłabionych współbraci z objęć śmierci, ostatnią wolę umarłego przyjmują, zanoszą pożegnania do dalekiéj rodziny lub innych ukochanych osób, modlą się przy konających, a w końcu—nasmutnéj olbrzymiéj z piasku mogile, krzyż własną swą ręką zatkną. Zaiste większym nie równie bohaterem jest ten co z bólu, niedoli i okropnéj śmierci wybawia, niźli ten, co śmierć po świecie roznosi.



(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Walter).

Do rzędu takich cichych a wielkich bohaterów ludzkości, należy pani Florentyna Nightingale (czytaj Nitingel), Angielka, znana obecnie w świecie całym pod nazwą „Opiekunki chorych." Wychowana starannie i obdarzona sercem dotkliwie czującem każdą braci niemoc i niedolę, z młodych lat Florentyna zajmowała się serdecznie badaniem sposobów, jakiemi zły stan szpitali angielskich i całą wadliwie urządzoną służbę zdrowia, poprawić z korzyścią chorych można. W tym celu urządziła podług własnego pomysłu szpital w Londynie, który w krótkim czasie dokładnością swego urządzenia zasłynął w całem mieście i jako wzór stawianym był zawsze.

Wtem wybuchła wojna wschodnia; wojska angielskie wraz z francuzkiemi udały się do Turcji. Ale niższość służby szpitalnéj angielskiéj od francuzkiéj, okazała się widocznie. W francuzkiéj armji oprócz lekarzy i felczerów, główną podstawą opieki nad rannemi stanowiły siostry Miłosierdzia i tkliwa opieka ręki kobiecéj, co pokazało się o wiele skuteczniejszem, nad największe usiłowania mężczyzn. Anglicy jako protestanci, siotr Miłosierdzia nie mają; w szpitalach byli sami mężczyzni, zaraz też wojsko angielskie poczuło brak prawdziwéj opieki, i rząd angielski zwrócił się z prośbą do p. Nitingel, aby udała się do Krymu. Zacna kobieta nie wahała się ni chwili, przemówiła w imię patryjotyzmu i ludzkości do rodaczek, zebrała ich pewien poczet, i z pośpiechem wsiadła na okręt, dążąc na półwysep morza Czarnego, zkąd przychodziły wieści o strasznych i morderczych walkach i o straszniejszym jeszcze w skutkach braku porządku, w zarządzie armji angielskiéj. Niestety! zaledwie przybyła do Bałakławy, pokazało się, że te straszne wieści były ledwo słabem odbiciem istotnego stanu rzeczy. Zarząd cały zagmatwany i opierający wszystko na stosach papieru, brak żywności, materjałów aptecznych, narzędzi chirurgicznych, szarpi i bandaży, bielizny, źle porozdzielani lekarze i felczerzy, brak wozów ambulansowych, szpitale polowe źle urządzone, mnóstwo rannych bez opatrzenia, w okropnych męczarniach ginących, walające się trupy, groby ledwie przygrzebane, jednem słowem chaos nie do uwierzenia. Zdawało się, że tu jedna kobieta nic nie zrobi; ale czegoby nie dokazała inna, to zrobiła pani Nitingel, ożywiona głębokiem poczuciem ludzkości. Energja jéj, w krótkim czasie przełamała biurokratyczne nawyknienia; nieruchliwych Anglików wnet powstały nowe szpitale, a stare odświeżono i przeczyszczono; przybyły okręta z bielizną, z lekarstwami, z narzędziami i żywnością wszędzie czuwał duch

ukochanéj przez żołnierzy „Opiekunki chorych.” Wśród największego ognia w czasie bitwy, pod Inkermanem lub przy zdobyciu Sewastopola, ona była sama, i z pod kopyt końskich, z pod kół jaszczyków, z pod odłamów granatowych i nasypisk baterjowych, wyrywała biednych jęczących rannych, i najmniéj połowę od pewnéj śmierci wybawiła. Sama nakoniec wycieńczona morderczą pracą, już przy końcu bytności wojska angielskiego w Krymie, zapadła na żółtą febrę. Troskliwi o jéj zdrowie żołnierze, błagali ją aby wracała do ojczyzny; ale ona nie chciała ich rzucić, bała się by znowu bezład pomiędzy nich się nie wkradł, i została do samego końca pobytu Anglików na wschodzie, najprzód w Krymie a potem w Skutari pod Konstantynopolem.

Wróciła nareszcie do Londynu, błogosławiona przez rodaków, wsławiona na świecie szerokim, z sumieniem czystem przed Bogiem i ludźmi. Straciła zdrowie własne, ale uratowała zdrowie tysięcy, i dokładnem urządzeniem służby zdrowia, ratować jeszcze będzie tysiące. Ciepłem serca, uczuciem miłości, zrobiła stokroć więcéj niźli inni, połączonemi potęgami rozumów. Wdzięczni Anglicy za życia postawili jéj pomnik, ale drogocenniejszym pomnikiem dla niéj, jest miłość ludu całego i własne zadowolenie z wykonania dobrego czynu płynące. Gdyby więcéj takich z gorącą miłością kobiet w społeczeństwie, złe trapiące ludzkość całą, ustąpić by musiało. Albowiem nie świecidełka, nie klejnoty i zbytkowne szaty, nie wdzięki i powaby dowcipu, zdobią kobietę i przyczyniają się do szczęścia społeczeństw, ale miłość jedynie jest i ozdobą niezwiędłą kobiety i narzędziem, za pomocą którego ona promieniami szczęścia ogrzewa świat cały.

WIGILJA ŚWIĘTEGO JANA.

Noc przed Ś-tym Janem Chrzcicielem, to noc cudów i nadzwyczajnych zjawisk, noc pełna podań i zwyczajów sięgających jeszcze tych czasów, w których pradziadowie nasi, odwieczne Lachy, na ogromnéj przestrzeni ziemi, kłaniali się bałwanom Swiatowida, czcili na szczytach szumiących gór Pochwista, zdobili wiankami koryta rzek, palili tajemne ognie, przy śpiewach i tańcach; a dęby, kamienie i zioła szczególne, uważane były, jeżeli nie za same bogi, to za miejsca ich przybytku, lub najmniéj za siły jakieś cudowne, nadnaturalne.

Wszystkim tym rzeczom, oddawano cześć religijną z pewnemi obrzędami i ceremonjami, niekiedy dzikiemi i strasznemi, a które w tamtych czasach nikogo nie raziły, bo nie znając prawdziwego Boga i Jego łagodnéj religji, wierzyli w to co ich szczególniéj uderzało, zadziwiało, niekiedy przerażało. A choć po zaprowadzeniu u nas chrześcijaństwa, (965 r.) te bałwochwalcze obrzędy zniknąćby powinny, choć pobożni kapłani i ludzie światli, starali się i starają ciągle o ich wykorzenienie i zapomnienie, to przecież zupełnie wygładzić ich jeszcze nie mogą; i są dziś nawet ludzie tak ciemni i zabobonni, że choć wiedzą, iż tém uwłaczają Wszechmocy Boga, wierzą mimo to w jakieś gusła, czary, zaklinania; zdaje im się że są czarownice, strzygi, że niektóre drzewa i zioła, mają moc prawie boską—i różne tym pobobne historje.

Są szczególne dni w roku, gdzie aby tylko kto chciał, może nie jeden taki zabytek bałwochwalczy zobaczyć; ale jeżeli kiedy, to już w wigilję Ś-go Jana Chrzciciela najwięcéj. W tym dniu dziewice puszczają po południu wianki na wodę, a któréj wianek utonie—to znak, że za mąż nie pójdzie w tym roku; który zaś swobodnie popłynie—dobry to znak i dziewczę się cieszy. Wieczorem po wsiach i miasteczkach, zbierają się dziewuchy i parobczaki na łąkach, palą gęste ogniska, śpiewają około nich, tańczą, przeskakują przez płomień i różne sobie wróżby wyprowadzają; zowie się to powszechnie Sobótką, którą nie tylko u nas, ale i w całéj Słowiańszczyznie, jak to obrazek (str. 196) przedstawia. O północy kwitnie w lesie kwiat paproci, kwiat taki cudowny, że kto go posiędzie, ten będzie panem szczęścia i bogactw, może już nic nie robić, a wszystkiego będzie miał w obfitości. Każdy może go dostać, ale też straszne przejść musi próby. Przed północą trzeba już czekać samemu w lesie, trzeba się w około zakreślić święconą kredą, bo to nie żarty, jak djabeł zacznie harce wyprawiać. Zazdrosna bestja o skarby, przeszkadza człowiekowi, aby kwiatu nie dostał, i stara się jego uwagę przerwać, pokazując mu różne figle i pokusy; lecz na to nie trzeba zważać, tylko siedzieć w święconem kole i patrzeć na paproć; a jak kur zapieje, uciekać co sił starczy do domu, nie oglądając się w tył, bo jeszcze mogłoby być kiepsko. Jeżeli kto to wszystko wytrzyma, kwiat paproci, który zaraz po zakwitnieniu opada, znajdzie się prawie zawsze albo w kieszeni, albo też w bucie lub trzewiku szczęśliwca. Wszystko to jeszcze zabytki pogaństwa; boć ludzie z prawdziwą wiarą w Boga, Jemu tylko wierzą i ufają, a nie oglądają się na to, jak wianek pływa po wodzie, jak ogień się pali, i nie przypisują leśnéj roślinie tego, co przy pracy a modlitwie, Bóg sam tylko dać może. Dobre to wszystko dla zabawki; zwłaszcza że puszczanie wianków i palenie Sobótek odbywa się publicznie, więc można się naśmiać i rozweselić—i nie jednéj zabawnéj przypatrzyć scenie. Ale wróżyć z tego o swoim losie, przepowiadać szczęście lub nieszczęście i wierzyć temu—i smucić się i martwić—to nierozsądnie. Bądź cnotliwą i pobożną, szanuj co szacunku godne, a pogardzaj złem i nie wstydź się pracy; a każdy ci przepowie, że nie długo staniesz na ślubnym kobiercu; bo praca i poczciwość, to najpiękniejszy wianek, to prawdziwy kwiat paproci.

Mnóstwo jest o tym dniu pomiędzy naszym ludem ciekawych podań, nieraz dziwnych i tajemniczych, a nieraz też przykładnych i nauczających. Oto jedno z nich, które jeszcze w młodości mojéj słyszałem nad Wartą:

Na samym końcu wsi stała uboga chatynka. Wiatr snopki powyrywał z dachu i świszczał sobie swobodnie, deszcz lał się strumieniami przez sufit, a popruchniałe przyciesie, groziły rychłym upadkiem całego domostwa. Nie można nawet było dojrzeć kto tu mieszka, bo potłuczone okna zalepiono papierem, zabito gontami, a około progu nie kręciły się ni gęsi, ni kury, bydełka nie było widać, pies się nawet nie pokazał.

Czasami dziedzic, jadąc na koniu w pole, spojrzy na opuszczoną chatę, aż brwi mu się zmarszczą, i gniewny pędzi czemprędzéj daléj, jakby nie chciał patrzeć na te pustki i dziury.

Niekiedy gospodarz sąsiad idąc na robotę, przystanie niby niechcący na końcu wioski, i powie sobie wzdychając: Mój Boże, poczciwy Wojciech jak mógł pracował; wystawił chałupę, stodołę i najpiękniej-

szy ogród założył—i pszczółki mu się chowały; koniki, bydełko—galancie się udawały, najpierwszy gospodarz na całą gromadę; a dziś—mój mocny Boże, ani znaku tego bogactwa, wszystko zmarniało—a dopiero trzy lata jak umarł... Dzieci, dzieci, co się też z wami stanie... A chłop jak dąb... oj! czemuż to nie pracuje... Trzy lata siedzieć jak złe w chałupie i niczego się nie jąć i dać temu pomarnieć... No—Janku, nie wiem czy ci to Pan Bóg odpuści.

Tak sobie nie jeden wyrzekał, a było też i nad czém. Nieboszczyk Maciej umarł przy pracy i zostawił synowi i córce taki majątek, że byle rąk nie opuszczać, możnaby było nie jednemu sowicie dopomódz, a nawet kościół wystawić. Tymczasem Janek inną poszedł drogą niż ojciec... Nic nie chciał robić—a z początku jeszcze mu to jakoś uchodziło, że to niby ze smutku i żałoby. Ale kiedy się grosze wysypały a nowych nie przybyło, kiedy pola nie obsiał, konie pozdychały, kiedy pozwolił walić się chałupie, a swojéj siostrze Marysi jeść biedę i łzami się kąpać—to sąsiedzi z powagą zaczęli go najprzód strofować i napominać, a gdy nic sobie z nich nie robił, odstrychnęli się od niego wszyscy, bali się nawet wstąpić do próżniaczéj chaty, bo ktoś powiedział, że nieczysty duch ma z Jankiem konszachty i narady. Żal im tylko było dziesięcioletniéj Marysi, która nie chciała w żaden sposób opuścić niedobrego brata, ale dzieliła się z nim najmniejszym kawałkiem chleba, ofiarowanego z łaski poczciwych kobiet.

Ksiądz proboszcz nieraz już chciał Janka nawrócić do obowiązków;—dziedzic nawet wszelkich probował sposobów, ale było to niby groch na ścianę. Dziwne też o nim rzeczy we wsi rozpowiadano.

Lecz wszystko ma swój koniec. Otóż i Janek pewnego wieczora, a było to w wigilję Ś-go Jana, siedział sobie zamyślony w swéj chacie i nic nie mówił. Marysia głodna i obdarta płakała stojąc w kąciku; w izbie ciemno było jak w lochu, bez ognia, bez świeczki, a on siedział i dumał, nic nie odpowiadał, choć go Marysia ze łzami pytała, co poczną jutro, co będzie daléj?—dumał tylko a dumał; niekiedy wyjrzał szparą od okna, niekiedy z boku spojrzał na siostrę i czoło obtarł rękawem... Nagle się wstrząsł, wstał, wybiegł szybko na dwór i zniknął gdzieś z oczu.

Po obu stronach piaszczystéj drogi, ciągnęły się zielone łęgi. Gdzieniegdzie widać jeszcze gasnące Sobótki, gdzieniegdzie chłopcy gonią się na dobitkę z zapalonemi wiéchami; tu dziewczę przerywa smętną piosenką, tam słychać tylko gasnące echo ludzkiego głosu i nawpół senne szczekanie psa domowego. Wszystko powoli milknie, niknie, wszystko co żyje pogrąża się we śnie.

Na niebie zaległy czarniawe chmury; księżyc i gwiazdki skryły się gdzieś daleko, kroku przed sobą nie ujrzysz—ciemno i ciemno—a w powietrzu duszno i parno, jakby zmora przywaliła ziemię.

Środkiem szerokiéj drogi idzie nasz Janek, ogląda się na wszystkie strony, stanie czasem—to znów biegnie, znów się obejrzy, jakby się wahał—czy iść, czy nie iść daléj. Wreszcie splunął, przysporzył kroku i wnet znalazł się w dziwnie szumiącym lesie. Nadchodziła północ. I kiedy omackiem zaczął szukać czegoś po ziemi, kiedy już miał zakreślić koło święconą kredą, nagle—w obłokach zagrzmiało, aż ziemia się wstrząsła... pioruny zagrały mu nad głową—zdawało się że las upadnie! Zawyły, zaświstały drzewa; sowy krzyczą, wrony krakają, łamią się gałęzie, strach—strach okropny zdjął Janka—począł uciekać co tylko miał siły. Zdaje mu się, że go ktoś goni; słyszy za sobą tętent i dzikie głosy, czapka mu spadła, włosy się najeżyły jak sierść; leci i leci, ale coraz słabiéj, mdło mu się robi, traci przytomność. W tém o dziwo! ujrzał nad drogą biały kościołek, pierwszy raz go widzi, — drzwi były otwarte, lampa się świeciła, nawet ktoś tam chodził. Więc wpada zadyszany, staje przed samym ołtarzem i ogląda się, ale nie ma nic... Na dworze cicho i spokojnie, a w kościołku tylko lampka dogorywa przed krucyfiksem, i pryska i pęka knotem na wszystkie strony. Zmięszany, cofa się ku drzwiom, ale drzwi zamknięte. Szuka innego wyjścia,—napróżno... Spogląda na ołtarz, a tam stoi po jednéj stronie nieboszczyk ojciec, po drugiéj zaś silny, zdrowy, rumiany chłop. Ojciec z surową miną zawołał Janka do siebie i tak się do niego odezwał: Trzy lata już nie dajesz mi spokoju, przez swoje próżniactwo. Siostrę do żebractwa zmusisz. Dziecko! na tom cie wychował?..... abyś miasto Bogu, paproci wierzył, abyś miasto pracy, paproci szukał? A któż to paproć stworzył? Synu! rozkazuję ci, porzuć lenistwo, pojednaj się z Bogiem i ludźmi, weź się do pracy. Praca i modlitwa, to twój skarb jedyny; praca i modlitwa, to prawdziwy kwiat paproci. Patrz co to jest praca!...... Tu wskazał na owego chłopa nieznajomego, któremu ręce nabrzmiały, jakby po największém zmęczeniu, pot zlewał się z czoła, i nareszcie zamienił się w prześliczny kwiat. Kwiat okwitł i ukazały się przepyszne owoce, a z tych owoców posypało się złoto, srebro, żyto, pszenica i chleb. Tu nagle wszystko zniknęło. Janek przeciera oczy, ogląda się, a on leży podewsią ziębły i przemokły; w głowie mu szumi, w piersi coś dyszy; słaby, jak zbity, ledwie się podniósł i poszedł prosto do domu — a dzień też dopiero świtać rozpoczął.

Nie wyszło trzech lat po tym wypadku, a Janek słynął we wsi jak najzawołańszy gospodarz. Odbudował się jak należy, wszystko mu się wiodło, rosło niby na drożdżach; ożenił się poczciwie, a i Marysia też dorastała. Wszyscy go lubili. A kiedy nie jeden zdziwiony taką pomyślnością, zapytał go czasami:—ej, Janku, czy wy nie macie przypadkiem kwiatu paproci? on odpowiadał: Moi drodzy! najprzód Pan Bóg, potem czyste sumienie i te dziesięć palcy u rąk—oto mój kwiat paproci. Macie go i wy u siebie, mamy go wszyscy.

WSPOMNIENIE z MALBORGA.

(*Dokończenie.*—Patrz Nr. 24).

Po drugiéj stronie mostu, w zamku średnim, jest część murów, która od razu uderza swoją piękną chociaż dziwną ozdobnością; kształtnie rzeźbione kolumneczki biegną tam po ścianach, jakby kamienne jaszczurki i warkocze, co nadaje budowie jakąś wypukłą przezroczystość. Ta wypieszczona część gmachu, stanowi wejście do mieszkania wielkiego mistrza. Gockim, tajemniczym korytarzem, przechodziliśmy do tego rozciekawiającego nas miejsca. Na końcu korytarza, pod wysokiém oknem, ujrzeliśmy okrągły otwór studni silnie ocembrowanéj, niezmiernie głębokiéj, lecz dzisiaj suchéj. Od studni przeszliśmy do komnat. Szereg pokojów cudnie w gwiazdy sklepionych, rozwinął się przed nami.

Najpiękniejszą jest komnata sypialna, pełna powagi i cienia, uroczyście oświecona jedném olbrzymiem oknem, z którego oko w zachwycie spuszcza się na wybrzeża spadziste, domkami i gajami obsypane, daléj na szafirową wstęgę Nogatu, a za nią jeszcze na niezmierny krajobraz przeciwległego brzegu.

W tych wszystkich pokojach nie ma nic zachowanego oprócz murów, odnowionych atoli z wielkiem wykończeniem i świeżością. Wszystkie posadzki są, tak jak były niegdyś, wyłożone taflami o różnych kolorach, tworzących grube lecz jaskrawe wzory, i po których nie wolno jest stąpać.

Sala jadalna, w któréj mistrz znakomitych gości podejmował, wsparta na jednym filarze, ma istotnie w budowie taką siłę, taki spokój, taką prostotę i wdzięk, że błogo jest stanąć przy tym jedynym jéj filarze, jak błogo jest spotkać człowieka, który wszystkie swoje myśli i dążności oparł na jednéj zasadzie.

W téj sali są jeszcze dochowane inne zabytki; wielkie, podłużnym kształtem wycięte w ścianie okno, zkąd podawano jedzenia i napoje; w oknie widać stół szeroki, za nim siedzenia dla krajczego i podczaszego, którzy ztamtąd osobne mieli wyjście. W tejże saméj ścianie ujrzeliśmy komin, wielki jakby chatkę. Nad kominem, w białym murze, czerni się pamiątka najciekawsza tu dla Polaków; jestto kula armatnia rzucona przez działo Jagiełły, podczas oblężenia Malborga. Wszystkie okna w średnim zamku są kolorowe, cudnie piękne, ale że nowe, mało naszą ściągały uwagę; na niektórych jednak są herby kolejno odmalowane, wszystkich wielkich mistrzów.

Na piętrze znów nas wodzono przez komnaty i sale o coraz piękniejszych sklepieniach; w jednéj małéj celi ujrzeliśmy jamę, która za podniesieniem tafli ukazuje się; jama ta jest nadzwyczajnéj głębokości, nią strącano nieszczęśliwych, na których zapadł wyrok śmierci.

W zbrojowni oglądaliśmy kilka godnych widzenia zbroi, jeżeli nieodznaczających się sztuczną robotą, to za to ogromem i ciężarem przechodzących wszystko cośmy mogli sobie wyobrazić. Wszystkie zbroje co kosztowniejsze albo rzadsze, odwiezione zostały do skarbca królewskiego w Berlinie.

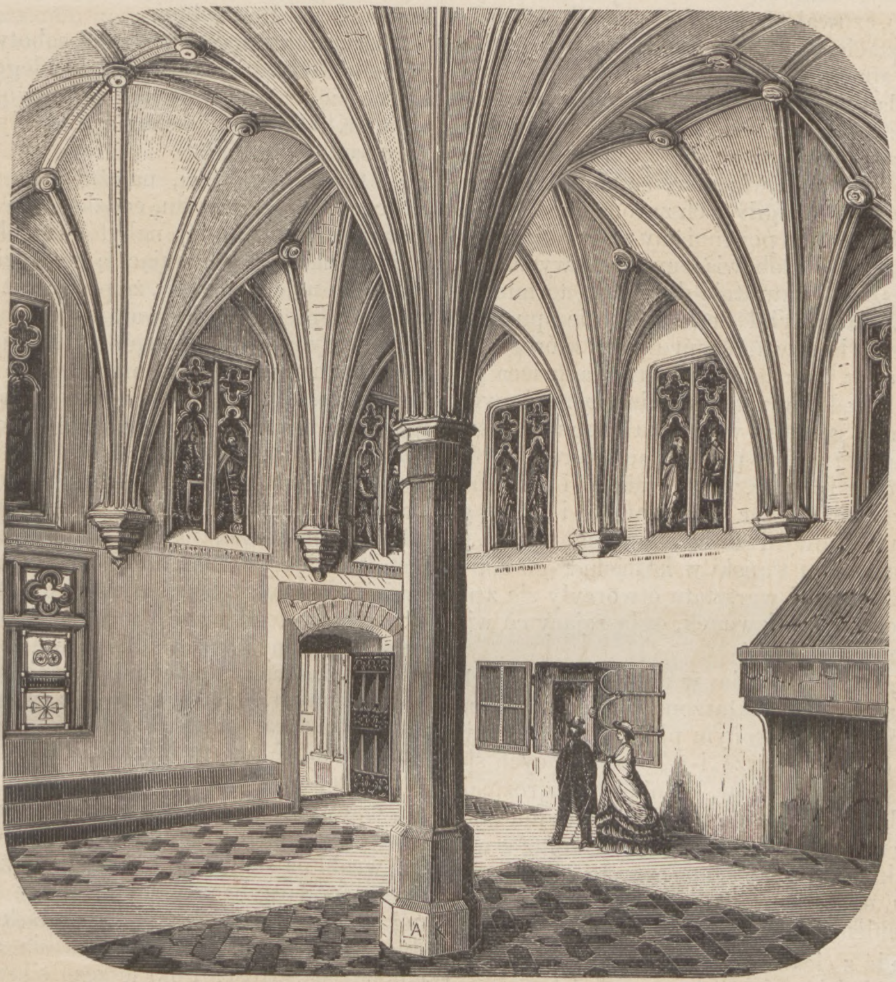


Sobótki u Słowian.—(str. 194, szp. 2).—(Wycięto w drzeworytni Halbergiera w Sztutgardzie).

Nakoniec wchodzimy do sali najsławniejszéj, do refektarza zakonu i na pierwszym kroku stajemy z zachwycenia. Ujrzeliśmy salę zwieszoną na trzech filarach tak wysmukłych, jakby żelazne słupki; u saméj góry dopiero te powiewne łodygi, rozrastają się w kształt kielichowy, niby we trzy lilje. Podwójny szereg olbrzymich, łukowych okien na przestrzał salę oświeca; niezmierna białość murów i słupów rozlewa dziwną pogodę, a od téj białości świetnie odbija ława pąsowem suknem obita. Ostatnią ciekawością zamku, którą chował na koniec nasz przewodnik, były piwnice pod średnim zamkiem. Trzeba przyznać, że rycerskie mnichy umiały sobie

ładną piwniczkę urządzić; to całe obszary. Tam można widzieć korzenie filarów zamkowych, piwnice są niemi niby zarosłe, i wyglądają jak przedpotopowy skamieniały ogród.

Przejrzawszy więc nareszcie te puste i głuche dzisiaj przybytki najlepszych rozkoszy i nektaru, pożegnaliśmy naszego przewodnika, wyszliśmy po za obręb warowny i znaleźli się wkrótce przed kolosalną figurą, przedstawiającą posąg Matki Boskiéj. W ścianie kościoła zwróconéj ku miastu, zaokrąglającéj się po za wielkiem oltarzem, błyszczą okna tak wysokie jak przybytek; framuga środkowa nie zawiera okna, lecz tworzy niszę, z któréj Marja, główna opiekunka zakonu i miasta, pod jéj wezwaniem



Sala jadalna w zamku Malborgskim.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Szymborski).

założonego, zdaje się czuwać po nad Marjenburgiem; postać jéj z daleka widzialna, gdyż ogromem dochodzi prawie wysokości kościoła. Posąg jeszcze krzyżackiéj roboty, teraz wiernie odnowiony, malowany złotem i kolorami, przedstawia Marją w płaszczu błękitnym, gwiazdami obsianym, trzymającą krzyż wielki w jedném ręku, boskie Dzieciątko na drugiem. W wykonaniu jednak, wiele bardzo spostrzegliśmy błędów w rysunku.

Spojrzawszy jeszcze po trzykroć na zamek, opuściliśmy go z pożegnaniem, i przejrzawszy pobieżnie miasto, nic osobliwszego w sobie nie zawierające, po wypoczynku i posiłku, puściliśmy się w dalszą podróż. Z godniejszych wspomnienia budowli w całem mieście, muszę tu wymienić ratusz, znajdujący się w połowie krużgankowéj ulicy, prawdziwy klejnot sztuki budowniczéj, nie wielki, lecz silny, starożytny, pełen młodzieńczéj bujności, potężny, zimny a wystrojony, jak by postać skamieniałego krzyżaka; wieżyczka na szczycie tak jest lekka, iż wydaje się piórem w jego hełmie.

Dziwnem także wydało się nam w miasteczku zaledwie 8 tysięcy ludności liczącem, znalezienie aż pół tuzina księgarń, zawierających mnóstwo widoków i opisów Zamku i Miasta.

ZAPŁATA ROBOTNIKA.

„Praca jest cnotą," ktoś powiedział—i słusznie. Praca wypływająca z obowiązków względem Boga, bliźnich i siebie samego jest dobroczyńcą, dającym chleb człowiekowi, aniołem stróżem, strzegącym jego obyczajów, chwałą dni młodych i pociechą starości. Ma ona wprawdzie swoje gorycze, swoje ciężary, swoje krople potu i krople łez obfite, ale mnóstwo pociech za nią postępuje, niosąc owoce zebrane w szacunku ludzi, w dobrym bycie rodziny, nadewszystko zaś w zadowoleniu sumienia, które jest ostateczną nagrodą zarówno wielkich jak i drobnych, byle po Bogu spełnionych czynów.

Widok każdéj pojedynczéj pracy, zajmuje, pociąga i naucza; ale więcéj jeszcze może zajmuje i pociąga widok pracy zbiorowéj, gdzie wiele sił połączonych razem, tworząc piękną harmonję porządku, ładu i jedności, uspokaja i rozwija zarazem umysł systematycznem prowadzeniem roboty. Dla tego to

zapewne szkoła i warsztat, tak zajmującym są dla każdego widokiem. O szkole innym pomówiemy razem, a teraz zajrzyjmy do warsztatu pana Kłódkowskiego ślusarza. Może się tam czego pożytecznego dowiemy; bo pan majster, praktykując od lat dwudziestu w swoim zawodzie, był nietylko biegłym rzemieślnikiem, lecz i człowiekiem bardzo rozsądnym. Doświadczenie jego razem wzrastało i na drodze rzemiosła i na drodze praktycznéj, jasnéj moralności: inny na jego miejscu troszczyłby się może wyłącznie o narzędzia, o materjał, o zarobek; pan Kłódkowski nad to wszystko troszczył się o czeladź swoją; inny ulepszałby tylko klucze, zamki, zasuwy, pan Kłódkowski przemyślał o poprawie rzemieślniczéj młodzieży; czuł się za nią odpowiedzialnym przed Bogiem, czuwał też i rządził pośród niéj w domu i w warsztacie, jak ojciec troskliwy i rozsądny: surowo, lecz sprawiedliwie.

To też czeladź pana Kłódkowskiego była zawsze poszukiwaną; on zaś sam wielkiego doznawał poszanowania, na zgromadzeniach starszych cechu ślusarskiego. A trzeba wam wiedzieć, że pan Kłódkowski, nie zaniedbywał nigdy tych zgromadzeń, powodując się maksymą, że powinniśmy wszystkiego dopełniać, do czego się zobowiążemy. Z téj wychodząc zasady, uczęszczał akuratnie do cechu, terminatorów co niedziela posyłał do szkoły, nie opuszczał żadnéj procesji bractwa różańcowego, którego był członkiem od lat piętnastu; jego jarząca świeca gorzała zawsze przed ołtarzem Pańskim pośród innych, jak jego serce gorzało w obliczu Boga miłością świętéj katolickiéj wiary, pociągając wzorem swoim do téjże miłości rodzinę, domowników i sąsiadów.

Takim był pan majster Kłódkowski i takim go wszyscy znali w owym dniu sobotnim, kiedy po dzwonieniu na Anioł Pański w kościele Ś-go Karola Boromeusza, drzwi warsztatu otworzyły się z pośpiechem i ozwał się dzwonek, ogłaszający co wieczór ukończenie roboty.

Robotnicy byli właśnie w największym ruchu i czynności: trzaskały rozżarzone węgle i rozpalone sztaby żelaza, a w czerwonym płomieniu oświecającym ściany, gorzały twarze i ręce pracujących ślusarczyków. Łoskot młotów, pilników, najrozmaitszych narzędzi, wydobywał się z chmury dymu oblanéj czerwonem światłem, i wzrastając coraz z większą siłą, jakby dla pośpiechu przy kończącym się już tygodniu, nagle zawieszonym został niespodziewanem wydaniem hasła do wypoczynku.

Cała czeladź z ciekawością spojrzała ku drzwiom, chcąc się dowiedzieć, kto im o pół godziny wcześniéj niż zazwyczaj przerywa robotę, a zdziwienie jéj jeszcze wzrosło, kiedy ujrzała samego pana majstra, poruszającego pełen znaczenia, powagi i akuratności dzwonek.

Ślusarz zrozumiał pytające spojrzenie robotników, i rzekł z łagodnym uśmiechem:

— Uwalniam was dzisiaj, moje dzieci, prędzéj o pół godziny jak zazwyczaj; nie cieszcie się jednak przedwcześnie — téj pół godziny nie daruję wam wcale, musicie ją zemną przepędzić...

Mamy dziś sobotę—dzień wypłaty waszéj tygodniowéj należności; chciałem więc pierwéj pomówić z wami trochę w materji, która mi leży na sercu— dodał majster, spoglądając nieznacznie na dzielnego czeladnika, co oblany potem, jak Herkules giął sztabę żelaza, i przerzucając z kolei to jedno to drugie narzędzie, najtrudniejsze z zręcznością wykonywał obstalunki.

Był to biegły i przedziwny robotnik, a jednak musiał mieć jakieś *ale*, kiedy majster spojrzał na niego surowo, (majster bowiem nigdy bez kozery surowo na nikogo nie patrzył), i kiedy Mateusz, spotkawszy wzrok jego, mimo ślicznie wykończonego sztucznego zamku, spuścił oczy na swoją zakopconą rękę, którą zaczął troskliwie wycierać fartuchem.

W mgnieniu oka wszystkie narzędzia były ułożone w porządku: zydle, ławy, stołki poustawiane rzędem; ogień przygaszony w kominie, miechy na kołku, i wnet czeladź raźnie, ciekawie a w porządku, pociągnęła za majstrem do obszernéj izby, i otoczyła długi stół brzozowy, na którym zazwyczaj ślusarz wyliczał im zapłatę.

Dzisiaj tak samo jak zeszłéj soboty i jak zawsze, ułożone były pieniądze dla każdego po starszeństwie wieku; każdy stanął przy swojéj należności, a pan Kłódkowski, wskazując na błyszczącą miedź i srebro, powiedział:

— Oto, moje dzieci, należność za waszą pracę— oto cena waszego trudu, codziennego potu, ciągłych niewczasów, i długiéj nabytéj mozolnem terminowaniem nauki. Odbierając ją co tydzień, przekonywacie się najoczywiściéj, że praca jest kapitałem, od którego procent ciągle wam się dostaje—kapitałem pewniejszym nieraz niż summy bankierskie, dopóki zdrowia nam staje; bo summa może przepaść niepowrotnie, a praca przy zdrowiu tylko tam marnieje, gdzie dobrowolna swawola, niestatek, próżniactwo, wytrąca ją z ręki człowiekowi. Kapitał ten może być większym, lub mniejszym; może większy lub mniejszy procent przynosić, stosownie do zdolności, siły, usposobienia, nauki i pilności posiadacza; tojest: im więcéj kto się uczył, im ważniejszą posiada umiejętność lub talent i wyższy w nim stopień udoskonalenia, tem więcéj zarabia. Stosunek ten jest bardzo słuszny i sprawiedliwy: większy wydatek sił, zdolności, czasu, powinien być koniecznie szczodrzéj nagrodzonym, bo wyczerpując więcéj człowieka, zmniejsza zarazem jego kapitał. Zmniejszanie to stopniowe, może przyprowadzić z czasem do zupełnéj utraty takowego; to jest: że z wiekiem, z upadkiem sił, człowiek coraz mniéj pracować może, i że przychodzi w końcu smutna chwila niedołęztwa, kiedy już wcale na siebie nie jest w stanie zarobić. Skrzętny gospodarz, baczny rolnik, który w téj ostatecznéj chwili nie chce się oglądać na łaskę ludzi, oszczędnością lat młodych, przysposabia sobie kawałek chleba na starość. Póki jeszcze silny, zdrów i zdatny do pracy, składa cząstkę zarobku do kass, umyślnie na to po całym kraju urządzonych, i w wieku późniejszym błogosławi tę oszczędność i przezorność młodości.

Aby można obracać swoim kapitałem pracy, potrzeba mieć do tego czas. Czas jest więc równie drogim jak praca, i kto czas trwoni, ten roztrwania swój kapitał, wyrzeka się procentu od niego—a ten procent jest świętą i niezbędną własnością biednego człowieka, bo mu zapewnia byt uczciwy, bo jest chlebem jego rodziny, wychowaniem jego dzieci, niezależną godnością i spokojem jego domu, przyszłością i ucieczką jego starości, niemniéj jak całéj jego rodziny.

Ta wysoka wartość, ta święta, że tak rzekę, ważność zapłaty robotnika wyrabia dwa wielkie między ludźmi obowiązki: pierwszy z nich spływa na

majstra, na fabrykanta uiszczającego zapłatę, drugi na robotnika, który ją odbiera. Pierwszy przypomina majstrowi konieczność sumiennego obliczenia i ocenienia zarobku, oraz akuratność rzetelną w wypłacie.

Tyle co do wypłacającego, moje dzieci; pozostaje mi jeszcze słowo do robotnika i tą część głównie się do was stosuje. Jeżeli zapracować w pocie czoła, jest już znaczną częścią moralności człowieka, druga jéj częścią, może nawet trudniejszą, jest rozporządzić gospodarnie, uczciwie, statecznie owocami swéj pracy; głód, konieczność, każdego mniéj więcéj zapędzają do pracy, tu więc robiemy z potrzeby cnotę; lecz mając już w ręku gotowy zarobek i będąc prawdziwymi wówczas panami swéj woli, idziemy w rozporządzeniu takowego wyłącznie za dobrą lub złą skłonnością naszą; dla tego też owo rozporządzenie jest miarą naszéj moralności, oraz środkiem do przechowania w sobie dobrych lub złych obyczajów.

Bo zastanówcie się tylko sami: każdy z was, co odebrawszy zapłatę, rozrachuje się rozsądnie na każdy dzień, wydatki według przychodu ułoży, jaki taki grosik odliczy na stare lata, czyż taki, mówię, nie wkłada się do życia porządnego, do roztropnéj oględności, do ładu—czyż moralność takiego nie jest już opartą na pewnéj rękojmi? Z drugiej strony cóż można liczyć na charakter człowieka, co krwawy zarobek roztrwania po szynkach, ze złemi towarzyszami, podczas kiedy jego rodzina cierpi i narzeka w domu? Moralność takiego na bardzo śliskiéj jest drodze; potrzeba, nawyknienie do zbytków daleko go zaprowadzić mogą, rzekł z westchnieniem pan majster, rzucając znów nieznacznie spojrzenie na Mateusza, który stał jakby kamieniem przywalony do ziemi.

Pan Kłódkowski zdał się na to niezważać, i mówił znowu w te słowa:

— Tak jest, próżniactwo, niestatek daleko zaprowadzić mogą; marnotrawca podobnie trwoni swoje mienie, jak próżniak swój czas, a niechże go się jeszcze chwyci gorzałka, to choćby był najbieglejszym w rzemiośle, najpilniejszym w robocie, straci zwolna chęć, zdrowie, siły, zdolności, przytomność; zmarnuje swój talent, przestanie pracować i z zdatnego rzemieślnika, zrobi się jeszcze włóczęgą, nędzarzem, żebrakiem, a może i gorzéj.

Ślusarz westchnął głęboko przy tych słowach, a Mateusz wziął się tak pilnie do odczyszczania fartuchem swéj zakopconéj ręki, że czego już dawno nie było, zaczęła na niéj biała przeświecać skóra.

Czynił to z wielkiego zawstydzenia i niewiedząc gdzie oczy podziać. Pan majster wstrząsnął głową: widocznie żal mu było zdatnego robotnika, który od niejakiego czasu wdawszy się ze złemi towarzyszami, puszczał się na niestatek i złe przykłady, mógł wnieść do warsztatu. Szczerze więc szukał sposobów ocalenia swego czeladnika, a zarazem chciał i sobie oszczędzić przykréj konieczności wydalenia go z warsztatu; do niego więc głównie zwracał dzisiejszą całą tę przemowę, po ukończeniu któréj kazał zabrać pieniądze, i ozwał się jeszcze do swojéj czeladki:

— To wszystko, moje dzieci, co wam miałem powiedzieć; nieraz już przychodziła mi chęć pomówienia z wami w tym ważnym przedmiocie—mam nadzieję, że nie zapomnicie słów moich i zastosujecie je każdy do siebie. A teraz życzę wam dobréj nocy i nie zatrzymuję już dłużéj, bo oto właśnie bije godzina, w któréj się zazwyczaj rozstajemy.

Czeladź, z życzliwem, z wdzięcznem uczuciem w sercu, opuściła majstra, i rozbiegłszy się po wązkich, przyległych warsztatowi uliczkach, zdążała na dzień świąteczny do swoich domów, pośród swoich rodzin.

W jednéj właśnie z takich ulic był domek o czterech okienkach, rozdzielonych wązkiemi drzwiami; rodziny dwóch robotników zajmowały jego dwie połowy, a przechodzień wstępujący w te progi, koniecznie musiał sobie pomyśléć:

— Tu na lewo mieszkają ubodzy, tu na prawo zamożniejsi.

Wcale jednakże tak nie było; stan zamożności mieszkańców obu stancyjek był zupełnie jednakowy, obadwaj gospodarze wstawali ze świtem na robotę, a ten pozór zamożności w domu białoskórnika, wypływał z pracy gospodyni i z jéj schludności, błyszczącéj u czystych okienek, we drzwiach obmieciończych, w obmytych twarzach dzieci, w ich karności domowéj; wypływał zwłaszcza z rządnéj oszczędności gospodarza, z mądrego rozporządzania groszem, z umiarkowania wszystkich członków rodziny i z tego błogosławieństwa Niebios, co tak widocznie na czole każdego z nich błyszczało.

Małgosia — tak bowiem białoskórnik Walenty nazywał zazwyczaj swą żonę, przy dzisiejszéj sobocie ogarnęła izbę świątecznie, i odmówiła pacierz z dwojgiem podrastających dzieci, przysposabiając bieliznę dla męża. Dzieci zasnęły, łuczywo paliło się w kominku, niewiasta pracowała, nucąc nad główkami dwóch chłopczyków te piękne słowa Psalmu:

Aniołom moim każę cię pilnować,
Oni cię będą na rękach piastować!

gdy wtem stuknięto do drzwi, i weszła do izby sąsiadka, mieszkanka drugiéj strony domostwa, z zachmurzonem czołem, w brudnym czepku, z zapłakanemi oczyma i rzekła:

— Pożyczcie no mi Małgosiu szczyptę soli.... nie mam czem kaszy przykrasić, a tu już ósma godzina i daleko do miasta. Oddam wam z pewnością, bo widzę, że już i u was w miarce nie wiele.

Uczynna Małgosia podała żądaną sól sąsiadce, mówiąc:

— Nic pilnego, Mateuszowa, nic pilnego. Miarka się kończy, bo i zarobek tygodniowy u końca; ale dziś białoskórnik wypłaca czeladzi należność, tylko czekać jak *mój* przyjdzie z fabryki, to się i porobi znowu na ośm dni zapasy.

Mateuszowa westchnęła, i ocierając zapłakane oczy, rzekła jeszcze:

I mojemuć dzisiaj wypłacają, ale nie przyjdzie on z pieniędzmi do domu. Od kilku miesięcy taki się z niego zrobił bałamut; cały zarobek marnuje gdzieś z fałszywemi przyjaciołmi, i jeszcze potem odbiera mi te kilka groszy, jakie sobie za pranie uciułam.

Łzy przerwały mowę biednéj kobiecie; chwilę łkała, a potem popatrzywszy na czystą izbę sąsiadki i na śpiące dzieci, ozwała się z żalem:

— I u mnie. Małgosiu, kiedyś tak jak u ciebie bywało: troje ślicznych dzieci bawiło się w izbie, dzień świąteczny cały mój dom zastawał w bieli, i ja pożyczałam sąsiadom soli i okrasy! Dziś wszystko się zmieniło; Bóg zabrał dzieci, Mateusz marnuje

mienie, opuszcza dom i poniewiera; on nie dba, to i ja już zaczynam niedbać: w chałupie brudno, w duszy smutno—nie ma na kogo czekać w domu, to i okrasiwszy kaszę, wezmę pieniądze za pranie, i pójdę się rozweselić na rogu ulicy u Lajzera.

Małgosia zatrwożyła się mocno temi słowami sąsiadki:

— Źle, bardzo źle mówicie, powiedziała jéj z pośpiechem. Licha to pociecha w szynku i przy katarynce; nie ufacie widać pomocy Boskiéj, kiedy chcecie usłuchać złego ducha! Zamiast pomodlić się do Przemienienia Pańskiego, zamiast wytrwałością w dobrem zjednać sobie miłosierdzie Nieba i pociągnąć dobrym przykładem męża, wy już chcecie ostatecznie jego i swoją zgubę zadekretować. To się nie godzi sąsiadko; niechże choć jedno stoi przy dobrem, to się może i drugie upamięta; gorzejby jeszcze było, gdyby *wasz* chciał się wrócić do uczciwego życia, a już nie znalazł w żonie mocnéj duszy, ni podpory w lepszych zamiarach.

Mateuszowa czuła prawdę słów Małgosi, ale czuła zarazem swoją niedolę, zniechęcenie, biedę i dla tego chwiała się jeszcze w głębi serca, gdy w tem u okna dały się słyszeć dwa przyjacielsko rozmawiające głosy. Za chwilę białoskórnik był już w swojem mieszkaniu, a sąsiadka Małgosi, zobaczywszy przez otwarte drzwiczki drugą jeszcze osobę, wybiegła z pośpiechem do sieni, wykrzyknąwszy:

— Mateusz!



....Ułożone były pieniądze dla każdego...—(str. 198, szp. 2).
(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie J. S.)

Jakoż istotnie był to Mateusz, ten sam czeladnik herkulesowéj siły, któregośmy poznali w ślusarskim warsztacie pana Kłódkowskiego. Wszedł on w zamyśleniu do izby, wezwał za sobą żonę i kładąc przed nią wszystkie pieniądze, rzekł wzruszonym głosem:

— No, to już teraz będzie koniec twojéj biedzie.

Mateuszowa złożyła ręce, jakby błagając Nieba o przebaczenie za swoje chwilowe zachwianie się w dobrem i wysłuchała z radością męża, opowiadającego jéj, jaką pan majster dał mu dzisiaj naukę, jak on tę naukę wziąwszy żywo do serca, przez całą drogę rozmyślał nad swojem postępowaniem, i jak postanowił sobie odtąd zasłużyć na przebaczenie Boga i na szacunek pana majstra.

Nie będę wam opowiadać dalszéj ich rozmowy; dodam tylko, że nazajutrz o świcie, Mateuszowa w powrocie ze Mszy świętéj na klęczkach wysłuchanéj, w kościele świętego Karola Boromeusza, wywołała sąsiadkę z izby i uścisnąwszy ją, rzekła:

— Dziękuję ci Małgosiu, żeś mnie wczoraj wstrzymała od złego; gdyby mąż mój nie zastał mnie był wczoraj w domu, kto wie, w coby się obróciły jego dobre zamiary; dziękuję, żeś mi nie dała upaść całkiem na duchu i że Mateusz znalazł jeszcze we mnie niezgasłą iskrę bojaźni Boskiéj i miłości cnoty.

Wkrótce potem, w warsztacie ślusarskim czeladnik herkulesowéj siły zadziwiał wszystkich swoją pilnością i sztuką. Majster wiedział dobrze o jego poprawie, oh! bo pan Kłódkowski wiedział wszystko, co się tyczyło dobra jego robotników; śledził pilnie jego postępowanie, a gdy się przekonał, że poprawa jest szczerą i zupełną, dopomógł mu do założenia na swoją rękę warsztatu i przywiązał się bardzo do jego rodziny.

Jakoż od czasu do czasu widywano już mocno podstarzałego pana Kłódkowskiego, dążącego w chwilach wolnych od pracy na gawędkę do Mateusza, który w warsztacie swoim zaprowadził też samą karność, też samą troskliwość o czeladź, jaką widział u swojego majstra.

To też Bóg wyraźnie błogosławił Mateuszowi i jego żonie, dając im uczciwe imię, dostatek roboty, prawdziwych przyjaciół i dwoje ślicznych dzieci, co się zdrowo i szczęśliwie chowały.

ROZMAITOŚCI.

— Rośliny przeniesione do Europy z południowych części ziemi, dojrzewały pierwszego roku późniéj, bo oczekiwały jeszcze na słońce ich klimatu, następnych lat coraz prędzéj, bo się wezwyczaiły do tego pasa powietrza. W sztucznem cieple każda trzymała się swéj ojczyzny, choćby 50 lat była w Europie. Rośliny z Przylądka Dobréj Nadziei kwitły u nas w zimie, bo widocznie jest tam wtenczas lato. Kwiat zwany cudowny kwitnie w nocy, dla tego mówi Lineusz, że wówczas dzień w Ameryce, jego ojczyznie.

— Pewien dziennik angielski wyrachował, że sztaba żelaza, która kosztuje 2 dukaty, warta jest po przerobieniu na podkowy 4 dukaty, na noże stołowe 72 dukaty, na igły do szycia 140 duk., na ostrze do scyzoryków 1314 duk., na polerowane spinki i guziczki 1734, na sprężyny do zegarków 100,000 dukatów, czyli 2 miljony złotych.

Od Redakcji.— *Opiekun Domowy*, na takich samych jak dotąd warunkach, wychodzić będzie w kwartale III r. b. Zmiana tylko zajdzie w tém, że poczynając od 27 Numeru, nazwiska autorów, których prace są umieszczane, wymienianemi będą. Możemy również zapewnić o usilném staraniu, co do wzbogacenia wewnętrznéj wartości pisma i artystycznego wykonywania pomieszczanych w niém rysunków.

W Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 9 (21) Czerwca 1865 r.